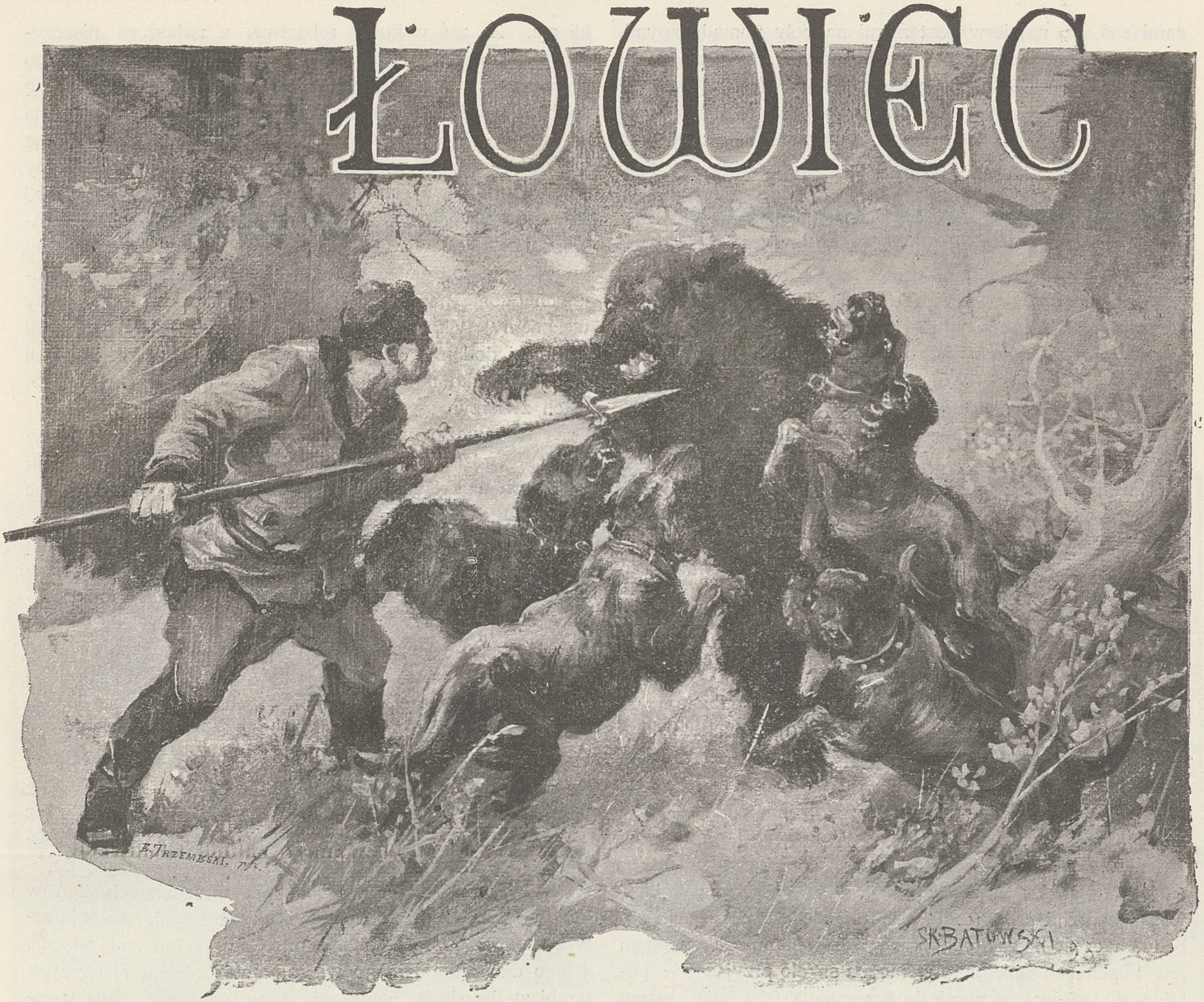
Nr. 14. Lwów, 15 lipca 1900. Rok XXIII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

JAN GRZEGORZEWSKI.

Na łowach w Transwaalu i Kalaharze.

I.

Transwaal dziś jeszcze nazwać można rajem myśliwych, oczywiście — nie siódmym w widzeniach Mahometa, bo go oddawna na siedm pieczęci zamknęli purytańscy psalmiści burscy, wygnawszy zeń poprzednio ku pustyni kalaharskiej własnych po kafrskich i hotentockich gazetach Bastardów. Biorę raj w pojęciu epok dzisiejszych Nemrodów europejskich, dla których dzik lub kozica jest zjawiskiem świątecznem, a szakal lub stado antylop — marzeniem niedościgniomem.

Za rajską jeszcze tu obfitością i rozmaitością zwierzyny przemawia samo istnienie społeczności burskiej w jej dzisiejszem jeszcze składzie. Te prawie 50.000 transwalczyków (blisko 30.000) i orańczyków, walczących teraz na dwu frontach przeciw Anglii, — to cała ich ludność męska od 16-go do 60-go roku życia. Owe z tej liczby 30.000 transwalczyków, rozsiadłych na przeszło 16.000 (podług spisu 1888 r.) farmach czy folwarkach podobnie jak ich bracia w Oranje, Natalu, kraju przyladkowym — są gorszymi ziemianami od naszych Mośków i Herszków, dzierżących folwarki w Galicyi i niby trudniących się gospodarstwem rolnem, bo tylko małą cząstkę swych gruntów oddają pod uprawę, t. j. tyle, ile potrzeba na zaspokojenie własnych potrzeb domowych, a i na tych szczupłych parcelach gospodarują ręką i głową — kafrowie,

sami zaś są najpierw pasterzami na poły nomadycznymi, dalej niż górale nasi, (bo nieraz o kilka i kilkanaście dni drogi od siedlisk letnich), pędząc liczne stada swoje na pastwiska i pozostając tam przez 5 miesięcy; a następnie łowcami. Każdy z tych żołnierzy armii z pod Ladysmith lub Kimberleyu — to myśliwiec od dzieciństwa, a karabiny, którymi prażą Anglików, — to ich broń myśliwska. Każdy jest strzelcem, nie wyłączając nawet starego generalissimusa Picta Jouberta lub jeszcze starszego — wuja Pawła Krügera, prezydenta, którzy też są nie od tego, aby czasami nie puknąć i teraz do kozła a przypomnieć młode sobie swoje lata.

Powyżej podana cyfra 30.000 — jest liczbą zdolnych do noszenia broni. Walczących jest daleko więcej — 10—15% tamtych, bo doliczyć trzeba ochotników cudzoziemskich, tudzież uitlenderów, obowiązanych i branych do służby wojskowej.

Mimo dość pokaźnej liczby ogólnej uitlenderów (Anglików i innych narodowości) przebywających w Transwaalu a wynoszącej 90.000 osób (na 200.000 boerów) nie zaliczam ani jednego do myśliwych, choć mnóstwo między nimi jest polujących nietylko na złoto. Nakoniec pominąć nie mogę kafrów (a tą nazwą obejmuję — jak burowie — całą ludność niebiałą, a barwną), której liczba wynosi w Transwaalu przeszło 642.000 dusz. Wprawdzie landyści i feldkorneci burscy odbierają od nich broń, ale to jeszcze mniej skutkuje niż konfiskata flint u górali, nie posiadających „waffenpasu“ (paszportów na broń). A zresztą kafrowie — jak i burowie — od wieków — przed zapoznaniem się z bronią palną — wybornymi byli łowcami zwierzyny, używając do tego swoich assagajów, nożów, strzał na grubszego a samostrzasków i innych fortelów na drobniejszego zwierza. Uwzględniając wszakże różne przeszkody, odliczając część na dzieci i kobiety, a część na zajętych pracą w gospodarstwie burskiem i w kopalniach uitlenderów, można śmiało przyjąć 5% polujących kafrów, co wyniesie przeszło 30.000 ludzi, razem z burskimi myśliwcami — 55.000. Bierzmy dla okrągłej liczby tylko 50 tysięcy. Przestrzeń Transwaalu wynosi około 300.000 kilometr. kwadrat. Na przestrzeni tej dorownywującej rozmiarem Galicyi, Kongresówce i znacznej części Szląska razem wziętym a posiadającym o 70 razy mniej ludności, wypada tedy po 10 kilometrów na jednego polującego (jeżeli się bierze ogół polujących białych i barwnych), a 6 kilom. kwadr. na jednego polujacego bura. Jest na czem polować — przy dziewiczości tej natury afrykańskiej.

Jeżeli wykluczę ptactwo drobne a ograniczę łowy tylko do forsowniejszych czterech miesięcy*) i przypuszczę, że na każdego z owych 50.000 łowców padnie tylko 1 sztuka zwierzyny w tygodniu, czyli choćby przez cały rok 16 sztuk, to przypadnie łup 800.000 sztuk rocznie. Weźmy inną kombinacyę. W każdej chałupie czy to burskiej czy kaferskiej pełno widzieć można skór domowych i dzikich zwierząt, bądź suszonych, bądź wyprawnych, a używanych do odzieży, przykrycia ścian i podłogi, meble etc. Że zaś wskutek robactwa, a zwłaszcza niszczycielskiej potęgi termitów, zapasy z lat poprzednich nie długo wytrzymają i większość tych skór jest świeżą, nie zgrzeszę chyba przesadą, jeśli podam tej ostatniej kategoryi cyfrę na 100 sztuk, z których połowa jest ze zwierząt dzikich. Licząc po 5 głów na każdą rodzinę, na 932.000 mieszkańców mamy 186.400 rodzin, a po 5 skór dla każdej — razem 932.000 skór myśliwskich. O ile wnioskować można z licho prowadzonej statystyki handlowej, zdaje się, że z Transwaalu wywozi się rocznie zagranicę około pół miliona skór, objętych ogólną nazwą owczych i kozich. Jeśli z tej liczby weźmiemy tylko 15% dla skór dzikich zwierząt, czyli 75.000 i dodamy do powyższej liczby, to będziemy mieli 1,007.000 jako minimalną cyfrę rocznie padającej na łowach zwierzyny.

Wprawdzie wielcy łowcy afrykańscy, z głębi kontynentu — gdzieś z nad wielkich jezior, z dopływów Nilu lub Nigru, spoglądaliby z politowaniem na to polowanie transwaalskie i na jego zwierzynę. Z olbrzymów, przedstawicieli wielkiego świata zwierzęcego, pozostał tu tylko z amfibiów krokodyl, z ptaków struś, z ssaków sporadycznie na krańcach zachodnich — żyrafa. Natomiast brak stanowczy tych, które tak oryginalnie cechują dalszą faunę afrykańską: wielbłądów i słoniów. Pierwszych tu nigdy nie bywało, bo do tego potrzeba wysokiej i starannej hodowli, jaką mają semickie (arabskie) lub turańskie szczepy. Humickie i bantu-szczepy a po nich chłopscy burowie nie zdobyli się na to w Kalaharze, a w Transwaalu, Oranii etc. gleba i konfiguracya terenu nie nadawały się po temu. Słoń wszakże bywał tu dawniej wraz z żyrafą, hipopotamem i nosorożcem. Te trzy ostatnie zabłąkaja się kiedy niekiedy sporadycznie; po tamtym pozostały tylko legendy i wspomnienia u sędziwych kafrów lub w notatkach misyonarskich i podróżniczych z epok i pierwszych prac Mofata i Livingstona. Te wspomnienia sięgają 4-tego dziesiątka XIX-go wieku, a więc czasu pierwszych trzebiczy burskich, pierwszej ich tu wędrówki. Kule strzałów tych gromadnych łowów tak w walkach ich z czworonożnymi jak dwunożnymi, sprawiły ogromny popłoch na wszystkiej zwierzynie, której znaczna część cofać się zaczęła ku północy, ku strefom tropikalnym za Limpopo i ku zachodowi — w pustynię kalaharską.

Tu też jeszcze — w pasie pogranicznym — napotkać można słonia, ale wraz z koniem rzecznym zostaje on, jak nasza kozica i świstak, pod opieką prawa i nie wolno strzelać tam, bo się zapłaci 3.000 marek grzywny.

Średnia zwierzyna z rodziny wolej, oślej i koziej najdłużej się zachowała. Tak n. p. Kudu, najwspanialszy okaz rodziny antylopskiej, nadybano niedawno, a olbrzymiego Gnu (Ca toblepas) prawie trzymetrowej długości, a 1·2 mtr. wysokości, sam widywałem. Ten podobny do konia z rogami zwierz mało jest płochliwy i może dlatego trwa długo. O żebrach nie mówię, bo tych znaczna jest jeszcze ilość.

Wszystką tę zwierzynę strasznie tępi zjadliwa tropikalna mucha c e c e, której ukąszenia prawie nieszkodliwe dla człowieka — śmiertelne są dla zwierzyny. Obecność jej w danej okolicy daje wyborne wskazówki zwierzostanu tejże okolicy. Gdzie się pojawia cece, tam musi być moc zwierzyny tropikalnej. W Transwaalu zalatuje ona w podgórzu soutpanskie.

Z gruboskórnych dotrwał najdłużej dzik, a i bawół, wszakże już tylko w nizinach Limpopo, na pograniczu

---

*) Czas polowania na wielkie ptaki od 15. stycznia do 15. sierpnia, na strusie, antylopy, żebry, bawoły, żyrafy, nosorożce — od 15. lutego do 15. stycznia. Za pozwolenie polowania na strusie, żyrafy, bawoły, nosorożce płaci się 200 marek; za duże antylopy i żebry 60 marek; za małe antylopy i drobne ptactwa — 10 m.

z krajem Matabelów. Ale co za humor odmienny od jego ujarzmionego brata n. p. na półwyspie Bałkańskim, albo nad jeziorem Błotnem (Balaton), gdzie go stadami całemi widziałem, jak wygrzewał się do słońca i na błocie, leniwie spoglądajac z melancholją na mnie, przebierającego się tamtędy w odwiedzinę do chorwatów. Niekiedy tylko z głębi dużych białkowatych ślepi, zaszłych tonem błękitnawym, padło na mnie jakby szyderstwo z moich wędrówek pobratymczych, to spojrzenie zimne, przeszywające oka owadziego. Ale gdy je wytrzymałem z brawurą, zapadał w ospałość dawniejszą. Rezygnacyę większą zdradza bawół bułgarski i turecki, pełniący prawdziwą służbę pie drzewa chlebowe. Drużynę naszą, oprócz moich dwóch kafrów składali dwaj bracia van Meotanin i Gert w żeńskiej linii ze słynnego rodu Retiefów. Przy ognisku nocnem nasłuchałem się dość opowieści o zaciętości bawołów tamtejszych, z którymi nawet lew się zetknąć jakoby nie odważa. Gdy tedy nazajutrz jeden z kafrów dał nam znać, że o kilometr od nas ciągnie się szeroki, mocno wydeptany trop, którędy zwierzyna czarna ciągnie na wodę ku łożysku naszemu i że nawet wyraźne były ślady racic bawolich w miękkim gruncie, zaczęliśmy się gotować na łowy.

Dwaj basalanie z bapedim, znający wybornie miejscowość, wysłani na zwiady, gdyby spotkali jednego byka



1. Polowanie na skoczki. 2. Mój Leng. 3. Gert. 4. Żebra. 5. Blackbok. 6. Springbok.

maszynisty. Mięso niezgorsze, rogi do wyrobów galanteryjnych, z sierci wyborne torby i kilimy ogniotrwałe, mleko kwaśne na j a u r t, zastępujący lody na ulicach Carogrodu, a on sam stąpa w jarzmie silniej i wytrwalej od wołu, z podatliwością bez szemrania.

Ale trzeba go było zobaczyć na wolności nad Limpopo!

Posuwając się wzdłuż dolnego jej biegu od ujścia Ingaleli wędrowałem od dni kilku na tamtejszych nizinach, okrytych bujną tropikalną niemal roślinnością, wśród której po za euforbiami więziły wzrok sporadycznie rozrzucone kolosy świata owego z rozsochatemi konarami, mał-lub stado idące do wody, mieli nam jednem lub podwójnem gwizdnięciem dać znać, abyśmy czas mieli dosiąść koni, a sami z resztą kaframi obsadziliśmy stanowiska wskazanego tropu.

Było dobrze przed południem, gdy znudzony czekaniem oddałem cugle kafrowi, a sam wyjąwszy z zanadrza notesik, wpisywałem tam spostrzeżenia nad mową, zwyczajami i opowieścią o bapedich, przyczem mimowoli posuwałem się wciąż naprzód noga za nogą. Jak to długo trwało, nie wiem, ale sądząc z zapisanych kartek musiało być dobre pół godziny, jeśli nie więcej. Naraz trzepnięcie gałęzią po ramieniu i jednoczeście posłyszany szmer cięż-

kiego stąpania, budzi mnie z zamyślenia i odrywa wzrok od pisma. Podnoszę oczy, jestem na rogu obejścia, przecinającego się pod ostrym kątem przy grupie krzaków, z po za których przybywający nie mógł mnie widzieć ani też ja nikogo z tamtej strony, dopóki się nie stanęło w punkcie przecięcia się linii kątu. Właśnie brakujący mi ku temu krok, jeszcze siłą dotychczasowego rozmachu robię i spotykam się bec à bec z wychylającym się z drugiej strony bawołem. Przestrzeń nas dzieląca łokcia nie wynosiła, dotykałem się niemal jego wilgotnych snać od urodzenia lub też może od oblizywania się chrap czarnych, połyskujących jak skóra gada, czułem na sobie gorący ich opar, jaki wydychały raz po raz przy ciężkiem sapaniu, widziałem wpijające się we mnie te ślepie owadzie, które mnie samego u łagodnego pobratymca jego bałkańskiego przejmowały nieufnością, a występujące z podełba olbrzymiego najeżonego również wielkimi szerokiemi pofałdowanemi rogami, z pod których kłapały uszy. Byłem jak zwykle ubrany w przestronny, wełniany, jasnopopielaty hawelok, którego noszenia w kniei uslinie odradzali mi burowie, jako tamującego swobodę ruchów i ulegający ciągłemu zaczepianiu się o kolce i gałęzie krzewów. Jakoż i w tej chwili pociągnięta gałązką rozchyliła całą lewą stronę peleryny, bawoł stanął, może uderzony niezwykłym dlań dotychczas widokiem istoty tak przyodzianej i wpatrzył się we mnie ze zdziwieniem, niby wół na nowe wrota — jak to u nas powiadają. Ja zaś choćbym się nawet pospieszył w czas do przywitania go po łowiecku, nie miałem ku temu po prostu fizycznej możliwości, bo mi brakowało czasu i przestrzeni do zdjęcia flinty z ramion, zmierzenia się i wycelowania. Jakem więc trzymał w ręku notesik, tak też mimowolnym odruchem, bez zdawania sobie z tego sprawy, klapnąłem go nim po pysku. Bawoł zrobił woltę, jakiej nie powstydziłby się najwprawniejszy koń cyrkowy, podniósł do góry ogon, wywinął kiciastym jego końcem i pomknął wstecz w lansadach.

W tej chwili posłyszałem gwizdnięcie. Pędzę z powrotem, a naprzeciw mnie szukający mię kafr z koniem. Ledwo miałem czas go dosiąść, a z boku i w dali od mych kroków słychać tentent jakby galopującego szwadronu kawaleryi. Nawracam w tę stronę: stado z kilkunastu sztuk bawołów mknęło jak wicher od wody hen daleko w knieję, a za nią o paręset kroków w pościgu wszyscy trzej burowie konno. Najmłodszy Pict, jako najbardziej krewki i zaciekły, wysforował się daleko naprzód i zajeżdżał z flanki stado tak niefortunnie, że przeszkadzał tamtym wziąć bodaj jedną sztukę na strzał. choć powiadali później, że nie to ich wstrzymywało a raczej zwłoka moja i chcieli mnie pozostawić satysfakcyę spotkania się z bykiem. Bardzo być może, wierzę nawet temu, bo są celnymi strzelcami, a zbyt ostrożnymi, aby mogli posłać kulkę pod obcym adresem. (C. d. n.).

LATO.

Przyroda już złożyła pstre, zalotne stroje,
I wielce spoważniała troską o swe dzieci.
Na jej obliczu, chociaż młodość jeszcze świeci,
Gwałtowne znać wstrząśnienia i przebyte znoje.

Bo ją nękają latem wielkie niepokoje,
Gdy skwar słoneczny nagle groźną burzę wznieci,
Gdy grad zniszczenie szerzy pośród zbóż i kwieci,
A las z szalonym wichrem ciężkie stacza boje.

Podobnie cierpi matka, anioł-stróż rodziny,
Gdy czuwa nad kolebką chorej swej dzieciny;
Lub gdy jej syn jedyny w dali jest na wojnie,

A ona dniem i nocą czeka niespokojnie
Czy wróci, czy wiadomość przyjdzie o nim jaka;
I modli się o życie swego jedynaka.

Jan Kornicki.

Konserwowanie trofeów myśliwskich.

Mittheilungen des n. ö. Jagdschutz Vereines zamieszczają następujący artykuł w sprawie tej dla myśliwego, który pamięć zdobyczy myśliwskich chciałby jak najdłużej zachować, bardzo ważnej:

Gdy przed jeszcze niewielu stosunkowo laty człowiek niefachowy zatrudniał się fotografowaniem przedmiotów natury, bądź sztuki, uważano go za fuszera, którego dzieła nie można było nawet przyjaciołom pokazywać. Dyletanta takiego uważano jako marnotrawcę drogiego czasu. Jakąż jednak obecnie widzimy różnicę w tym kierunku? Nietylko, że fotografia stała się sztuką, ale najświeższe wynalazki pozwoliły na to, że i dyletanci mogą ją uprawiać. Wywoływania obrazów i ich dalszego wykończenia nie oddaje się, jak dawniej, zawodowym fotografom, ale zatrzymuje się we własnych rękach, gdyż dyletantowi dzisiejszemu wydaje się, że miałby o połowę mniej przyjemności, gdyby fotografii od początku do końca nie wykonał.

Zupełnie inaczej jest u myśliwego. Lata całe błąka się on po polach i lasach, i w końcu staje się po niezliczonych godzinach trudów, i po niezliczonych ofiarach w pieniądzach i czasie, właścicielem zbioru trofeów, pochodzących z własnej zdobyczy.

Te skarby tracą jednak bardzo wiele na wartości, jeżeli musi on je oddawać komuś do spreparowania, aby je zabezpieczyć przed zniszczeniem i uczynić z nich ozdobę pokoju myśliwskiego. Musi jeszcze Bogu dziękować, jeżeli ma na to środki, aby wyszukać jak najlepszego preparatora, jeżeli bowiem daje choćby nawet średniemu preparatorowi, to ten postara się o to, żeby mu zatruć radość z powodu zdobycia nieraz bardzo cennego trofeum. Do takiej roboty najlepszy preparator jest zaledwie dosyć dobrym. Największa ilość preparatorów nie zna zwierzyny w jej stanie naturalnym, ani nie widziała jej żywej wśród właściwego otoczenia, ani też nie zadaje sobie trudu, aby wystudyować budowę zwierzyny, charakterystyczne znamiona jej członków i sposób ich używania, co jest niezbędnie potrzebnem, jeżeli się chce preparatowi nadać jak najnaturalniejszą pozę. Kto naturę za studyum sobie obrał i jest myśliwym z krwi i kości, wie, że musi się zapoznać ze wszystkiemi fazami życia zwierzęcego, jeżeli się chce zająć jego charakterystyką.

Wszystkie nawyczki zwierzęcia, wszystkie jego sposoby żerowania, odpoczynku, zabawy, miłości z rozmaitych punktów widzenia wzięte, są dla preparatora jedyną wskazówką do charakterystyki obrazu, który chce wykonać. Przy obrazie powalonego jelenia np. patrzy się przedewszystkiem na jego wieńce — a na resztę ciała, na wszystkie inne członki i organa nie zwraca się prawie uwagi. Delikatne linie łba jeleniego tworzą jego charakterystyczne znamię. A kto na to zwraca uwagę? Co za potworne obrazy karykaturalnych zwierząt patrzą na nas ze ścian pokoju myśliwskiego. Czy np. te oczy są takie, jak one wyglądają w naturze? Albo ta źle zeszyta mordka i niezgrabnie plastrami zalepione chrapy? Takie trofea wywołują u patrzących wrażenie, jakby zwierzę to było kijami zabite i padło z połamanemi kośćmi i rozbitą czaszką. Linie wypukłe są właśnie oddane jak wklęsłe, kąty ostre są właśnie okrągło wypchane i tak wisi ta zdobycz pozbawiona naturalnych kształtów i ma nam przypominać nieraz bardzo piękny epizod życia myśliwskiego.

Nie każdy może zdobycz swoją oddać dobremu preparatorowi do zakonserwowania, lecz często zmuszony jest albo sam ją preparować, albo też powierzyć ją taniemu preparatorowi. Nigdzie jednak oszczędność nie jest tak nie na miejscu, jak tu. Przedmiot, który ma pozostać miłą pamiątką, powinien być odpowiednio traktowany. Jeżeli jednak po dwóch lub trzech latach mam na ścianie zawieszone inne jakieś zwierzę, a nie to, które było moją zdobyczą, gdy n. p. w tym czasie trzech myśliwych wypchanego żbika każdy do innego gatunku zwierząt zalicza, wtedy pieniądze wyrzuciłem za okno. Jeżeli się więc nie jest w tem położeniu, żeby można było udać się do najlepszych sił, to lepiej już, jeżeli się ma czas i ochotę, samemu zwierzynę spreparować, bo zrobi się tak dobrze, albo tak źle jak przeciętny fachowy fuszer, a ma się tę korzyść, że widziało się zwierzynę wtedy, gdy ona padła i obraz ten w pamięci nam został, co przy preparowaniu bardzo ważną jest rzeczą.

Nie pragniemy tu propagować nowej idei, ale podajemy sposób preparowania ubitej zwierzyny, którego każdy traper zmuszony jest używać. Tam, podobnie jak u nas, uzyskały prawo obywatelstwa pewne stałe zasady co do obielania i rozbierania zwierzyny, które mają za cel przygotować do spreparowania cenne części zwierzyny jak rogi, skórę i szkielet.

Zauważyłem to wielokrotnie, że każdą zabitą sztukę zwierzyny kładą z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, na bok i wykręcają badyle ze stawów. Traper przecina teraz skórę wzdłuż badyli. Z głowy zdejmuje zawsze miarę od oczu aż do końca chrapów i notuje ją dokładnie. Przy muflonie i renie odcinają skórę aż przy karku, ponieważ spreparowanie łba razem z szyją wymaga o dużo więcej skóry niż się to wydaje na pierwszy rzut oka. Na wierzchu szyi robią nacięcie aż do róży wieńców, następnie ściągają skórę z szyi i bardzo ostrożnie z głowy, przyczem uważają bardzo na uszy — tak, że dostaje się odwróconą maskę całej głowy bez nacięcia z zupełnie dobrze zachowanemi powiekami i chrapami. Tę skórę, nazywaną w Ameryce „scalp“, nacierają codziennie solą i ałunem dopóty, dopóki w każdym najmniejszym kąciku nie wyschnie, dopóki nie usunie się cały tłuszcz ze skóry.

Wtedy zawieszają skórę, żeby należycie wyschła, a żeby ją uchronić od utracenia formy, napełniają ją igliwiem. Wkrótce potem rozpuszczają w beczce wody mieszaninę ałunu, saletry i soli i zanurzają skórę w tej beczce na 5 do 8 dni. Tymczasem wygotowują czaszkę, wyjmują z niej mózg, oskrobują wszystkie włókna mięsne, nacierają arszenikiem i wystawiają na działanie słońca. Gdy skóra wyjęta z beczki, przy rozciąganiu jej na stronie wewnętrznej okazuje białe zabarwienie, jest to znakiem, że jest dostatecznie odtłuszczoną i wygarbowaną. Rogi oczyszczone obwija się w papier. Z chrapów wycina się wnętrze i wkłada się dwa klinowato zacięte kawałki

drzewa w nozdrze, nadając im taki kierunek, żeby leżały na poziomie kości nosowej czaszki. Teraz przyrządza sobie traper pewien rodzaj masy papierowej, a mianowicie drze na drobne kawałeczki i rozciera stare gazety, potem wygotowuje je tak długo, dopóki nie otrzyma z nich gęstej cieczy. Rzuca wtedy do tej cieczy garść żywicy i kilka łyżek rozpuszczonego kleju stolarskiego. Mieszaninę tą rozciera tak długo, póki nie zrobi się z niej coś w rodzaju kitu szklarskiego. Tym kitem wypełnia wszystkie zagłębienia, mianowicie szczęki, doły oczne, policzki, krótko mówiąc, każde miejsce, na którem były przyczepione muszkuły i włókna mięsne. Wypełnienia te powinno się dokonywać w takiej mierze, żeby przybrały naturalną postać. Wszystkie te zagłębienia należy posypać arszenikiem, zanim się je wypełni kitem. Także jamę mózgową, do której się wkłada deseczkę, trzeba tym kitem wypełnić. Teraz wpadną każdemu w oczy błędy, które można natychmiast poprawić, ujmując lub dodając kitu. Deszczułce wbitej w jamę mózgową, która ma zastąpić szyję — nadaje się kierunek odpowiedni do tego, jak się chce mieć zawieszone trofea na ścianie. Kilka prób przyłożenia do ściany pokaże dokładnie preperatorowi, jak ta deszczułka ma być umieszczona. Teraz wycina się deszczkę w formie pól elipsy, a o rozmiarach skóry, która ma być w tem miejscu do tej deszczki przytwierdzoną. Tę deszczułkę przytwierdza się do deszczułki zastępującej szyję zwierzęcią, a mianowicie w ten sposób, żeby linia przeprowadzona od środka chrapów przez czaszkę do wierzchołka elipsy, dzieliła cały preperat na dwie równe części. Skórę po wyschnięciu posypuje się arszenikiem i wciera się go należycie. Ostrym nożem robi się od wewnątrz nacięcie w górnej wardze przez całą jej długość i wkłada się w to nacięcie drut, który potem się zaszywa. Z pomocą tego drutu można wardze nadać kształt, jaki się pragnie. To samo robi się z wargą dolną. W ten sposób przyrządzoną skórę naciąga się na czaszkę i dopasowuje się dokładnie naokoło korony, napina się ją we wszystkich miejscach czaszki i nacięcia zeszywa gęstym ściegiem. Koniec skóry przytwierdza się do owalnej deszczki. Do wypełnienia szyi nadają się najlepiej wióry. Dla dyletanta wszelki inny sposób zapełnienia szyi jest zanadto trudny — nie każdy bowiem ma tyle artystycznych zdolności, żeby sobie uformować model z gipsu lub gliny. Wióry znoszą wszelki nacisk, przyjmują każdą formę i nie psują się przez bardzo długi czas. Gdy już szyja napełniona została wiórami, a właściwie w czasie napełnienia jej, nadaje się jej właściwy kształt przez odpowiednie nachylanie deszczułki, przedstawiającej szyję, do deszczułki owalnej, stanowiącej podstawę całego preparatu. Chrapy i uszy wypełnia się masą papierową, żeby przy wysuszeniu nie straciły kształtów. Następnie wstawia się szklanne oczy pod powieki i przytwierdza się je do czaszki. Nad obu rzęsami pociaga się nacięcie, przez co tworzy się brózdeczka, która nadaje oku zwierzyny więcej naturalnego wyrazu. Jeżeli chce się jeszcze lepiej preparat wykonać, to robi się parę sztucznych uszu z cyny i wstawia się je do uszu zwierzęcia. Tu pozostają one cały miesiąc, poczem się je wyjmuje.

Teraz preparat jest już gotowy i trzeba tylko tarczy, na której ma być umieszczony. Po miesiącu można usunąć z chrapów plaster, otwory napełnione papierową masą oczyścić, powieki i wargi na czarno pomalować i oczyścić rogi. Ponieważ przez ciągłe patrzenie na swój własny preparat, oczy zanadto do niego się przyzwyczaiły, nie będzie zbytecznem, jeżeli się przed ostatecznem wykończeniem zaprosi innego myśliwego, któryby preparat obejrzał i poczynił uwagi. W każdym razie miłość natury i otwarte na jej przemiany oko pokonanych trudności będzie nieraz lepszą pomocą przy wykonaniu preparatu, niż fachowe wykształcenie byle jakiego preparatora.

Przy tej sposobności, zwracam uwagę, na rzecz, która niestety bardzo jest rozpowszechnioną, a która oko prawdziwego myśliwego powinna obrażać. Jestto zwyczaj wycinania z czaszki tylko bardzo małego kawałka kości, który zaledwie, że rogi razem trzyma. Słabe wieńce jelenie i różki sarnie powinny być tak wycinane — żeby miały za podstawę całą kość czołową aż do kości nosowej. Wieńce kapitalnych jeleni powinny być preparowane z całą górną częścią czaszki, a więc z kością nosową i górną szczęką. Tarcza powinna być odpowiednio wielka i silną, za to bez żadnych ozdób i rzeźb.

„ROK MYŚLIWCA“

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

Z lipcem przeważa się rok słoneczny. Przez przeciąg sześciu miesięcy przybywało dnia, światła i ciepła, ziemia ogrzewała się stopniowo coraz wiecej i choć już w lipcu dnia ubywać poczyna, jestto miesiąc najcieplejszy w roku, bo ziemia wypromienia ciepło, które przyjęła. Pod skwarem też słońca poczynają płowieć trawy i żółknąć zboża, a krzewy i drzewa zmieniają godową zieloność czerwca na właściwe sobie odcienia i kształty, tak że już do połowy lipca stanowczo zmieniają widoki natury. Cała warcabnica łąk i pól płowieje i traci żywość kolorytu; wypalone od słońca leżą ugory; szaro odlega pokład świętojański; żyto bieleje, rumieni się pszenica i jęczmień dochodzi do swojej żółtości; tylko hreczka oblewa się mlekiem i rozsiewa miodne zapachy; tylko późne owsy stoją jeszcze zielono; tylko na świeżo pokoszonych łąkach, po skończonych sianokosach, spotyka się oko jeszcze z zielonością godową, jak gdyby na nowo wracała wiosna. Ale koloryt lasów poważnieje z każdym dniem więcej i na-

biera większej rozmaitości w odcieniach, bo liść wiosenny pociemniał, a powtóre gony i pędy na drzewach i krzewach odsadzają się żywo od swego tła, z całą siłą i barwą rodzajowi rośliny właściwą. Lasy, czy to szyszkowe, czy listne, porastają na nowo i zagajają się więcej, a w szyszkowych rozlewa lipiec balsamiczną woń żywicy, którą szczególniej w dniach parnych przepełnione jest leśne powietrze. Na zmianę kolorytu lasów wpływają nietylko lipcowe gony, ale także narastające nasiona drzew i szyszki borowe, które szczególniej na świerkach rumienią się pięknie, jakby dojrzałe owoce. Lipa rozsiewa balsamiczne wonie i pszczoła brzęczy wesoło po lipnikach i sadowej lipie, zbierając pożytki.

Po skoszeniu łąk, po wystrzeleniu powtórnem drzew i krzewów w lipcowe gony i pędy, po odsadzeniu się szyszek od tła boru, następuje powtórne roczne ukojenie w naturze. Pierwsze było, kiedy wszelka ptaszka na gnieździe siadła i miejscem związana, dawała tylko głosem lub śpiewem świadectwo o sobie; drugie ukojenie jest teraz, kiedy już największa liczba ptaków śpiewać przestała lub przestaje i stanowczo miejsce i obyczaj zmieniać poczyna.

Z dojrzewaniem zboża poczyna zbierać się po łanach mnóstwo tych ptaków, które ziarnem żyjąc, wyprowadzają teraz młode swoje z gęstwin gniazdowych na otwarte i obfite pole. Ptaki jednego miotu opuszczają okolicę swego gniazdowiska i zbijają się już w gromady; ptaki dwóch miotów, albo te, które pierwszego nie wywiodły gniazda, siedzą powtórnie na jajach, lub karmią młode, albo już upierzone wywodzą. Wzdłuż zagumienek lub dróg wysadzanych drzewami, pędzają się najwcześniej ze wszystkich roje wróbli, spadając co chwila na łany i wypijając jeszcze w mleczku kłosy. Na czereśniowe i wiśniowe sady i futory spadają inni szkodnicy, którzy częścią się żywią dojrzewającemi owocami, częścią tylko pestkami dojrzałych owoców. Kostohryz spada tu całemi gromadami i wybiera najdorzalsze owoce; ale więcej jeszcze wyrządzają ci szkodnicy szkody, na których nikt nie stawia strachów. Susły i jeże, gromady myszy polnych i domowych wychodzą teraz z rozrodzonemi gniazdami w pola, kopią sobie nowe jamy i zaopatrują je nowym zapasem ziarna na zimę, falą kłosów zakryte i bezpieczne w gospodarstwie swojem. Dla drobnych ptasząt i zwierząteк byłaby to może najswobodniejsza chwila, bo mają żer w miejscu i są pod zasłoną zbóż, zakryte przed okiem drapieżnego ptactwa, które teraz opuściwszy okolicę swojego gniazdowiska, buja zuchwale, unosi się daleko i bije z wysoka; ale jego miejsce zastępuje inny nieprzyjaciel, który na drobną ptaszkę i małe zwierzątko, w zbożu ukryte, godzi. Liszka i kuna, tchórz i łasica, żbik i kot domowy wywodzi młode w zboża i zaprawia je do łowu i myszkowania.

W miarę jak głosy śpiewaków cichną, a zboża poczynają płynąć falą kłosów dojrzałych, towarzyszy temu widokowi natury jeden głos podnioślejszy tylko i wszędzie słyszany, głos przepiórki, o którym powiada lud, że woła:

„Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“

Jakoż, chcący czy niechcący, poczynają już kosiarze w czasie sianokosów, a żeńcy z pierwszem żniwem polowanie na przepiórki, kiedy się myśliwi na nie wyprawiają z rozjadem i biorą je na siatkę i strzelbę. W tym czasie jest także polowanie na błotach na bekasy, derkacze, żurawie i czaple, a od świętej Anny na dubelty, których się ciąg w tym czasie poczyna; po przylaskach na grzywacze i młode gołębie; po kosmatych miedzach i krzakach na kuropatwy; w zbożach na młode dropie. Ale właściwe polowanie jest i w tym jeszcze miesiącu na łodzi, zrazu od św. Jana na pierwsze podloty, następnie na stare gęsi i kaczki, które się w tym czasie pierzą i których łów jest łatwy, bo nie mogą się wzbić do lotu; — w powszechności na wszelkie wodne i błotne ptactwo, które się już wywiodło i znowu swobodnie odzyskało ruchy po wywiedzeniu młodych.

Zwierciadło wód ożywia się tedy na nowo, bo i ptaki jednego miotu, jak rybitwy, jaskółki morskie i kuliki, ważą się nad wodami i piszczą po brzegu, i rybny orzeł nurza się do wody za łupem, wywiódłszy już młode, a i jaskółki domowe szybują nad wodami, zbiwszy się w gromady, i szpaki obsiadują chmurami łozy i trzciny nadbrzeżne, lub ważą się wielkim czarnym obłokiem po całych godzinach nad pastwiskami, spadając tylko na chwilę na błonia pomiędzy pasące się bydło; — słowem ptactwo nie jest już śpiewne, ale głośne jeszcze na początku żniw. Z wielkich śpiewaków nie zamilkł tylko jeszcze leśny skowronek, wyższego głosu od słowika ptak, i gdyby był tak pospolitym jak słowik, danoby mu nad słowikiem pierwszeństwo.

Samury trzymają się w tym czasie z warchlakami w gaistych, zwartych, ale skrajnych lasach. Stary dzik poczyna się zbliżać do hurtu, który się kupą trzyma i w polach niekiedy wielkie robi szkody, mianowicie nocą; ztąd też są okolice, gdzie „z o g n i s t ą o b ł a w ą“ (to jest płonącemi wiciami i snopami na tykach) poluje się już w tym czasie na dziki, przejmując obławą łan przez nie zajęty i spędzając je napowrót do lasu. Zuchwale ustępują tylko z trudnością, a że się wolno i stadem cofają, ztąd jest tego rodzaju polowanie łatwiejsze od innych na dziki, a częstokroć bardzo wdzięczne.

Z końcem tego miesiąca, gdy owsy w mleczko idą, poczyna wychodzić i niedźwiedź nocą na polany leśne owsem obsiane, zbiera w snop na pniu stojący owies i wysysa z niego mleczko; tu tedy bije go nocą na zasadzkę mały myśliwy, bo co noc wraca do tej samej polany, dopóki całego nie wytłucze owsa, lub gdy blizko polany w oszyjkach lasu się trzyma, łatwo go otropić i objechać w tym czasie i wyprawić łowy na niego po dniu.

Niedźwiedzica wodzi się z piastunami, ztąd też jest daleko trwożliwszą od samca; żywi się jagodami leśnemi po odludnych porębach lub zawalnych i załamanych lasach, które ostrzężyną, malinami i borówkami porastają, i w tym czasie można na nią polować, jeżeli chodzi o schwytanie młodych niedźwiadków na chów, bo po zabiciu niedźwiedzicy piastuny są nieradne i do chwytania łatwe.

Gdzie tego potrzeba, a jest wiele zwierzyny w lesie lub zwierzyńcu, można już w tym czasie z tropowcem lub na upatrzonego polować na rogacze. Jeleń i kozioł, daniel i łoś ma już róg twardy i oczemchany, dobrą skórę i mięso, idzie na strzał. Łanie i sarny z cielęciem trzymają się jeszcze samotnie gęstwin gaistych; reszta zwierzyny przechodzi na wielkie, zwarte lasy, gdy już rogaczom rogi

napowrót skostniały, i trzyma się tam stadem aż do czasu rykowiska. Miejsca te gdzie jeleń i kozioł czemchają rogi, są znaczne po korze drzew. Czemchają je naprzód o miękką korę iwiny, młodych wierzb i osik; następnie o kory twardsze. Miejsca te wypada zaznaczać i stawiać w nich sól do lizania w małych skrzyneczkach, wymieszaną z czystą gliną. Jestto jedyny sposób przywiązania przechodnich jeleni i sarn do miejsca, równie jak stawianie małych stogów siana po gęstwinach, gdzie się jelenie i sarny zimą trzymać zwykły.

Z dykteryjek myśliwskich.

Pozwólcie, teraz ja wam opowiem moją przygodę z lisami. Znacie mnie, że blaguję tylko wtedy, jeśli ktoś mię chce brać na kawał, a ja mu mogę dać nauczkę, że lepiej to potrafię od niego. W tym zaś wypadku ręczę, że na jotę nie odstąpię od prawdy i nawet oszczędzę wam sosu i garnirunku. Zaczynam. — Polujemy w ośm strzelb w N. Dzień prześliczny. Pogoda, śnieg dosyć głęboki, miękki, ciepło, jasno, pod nogami nie chrupie, zwierz drukował. Najlichszy myśliwy lepiejby się w kniei orjentował, aniżeli najstarsza kucharka w senniku.

Miot czarty bardzo ładny zrąb. Zawsze w nim jest dwa, trzy lisy, kilka zajęcy i stado sarn. Mam numer piąty, stanowisko doskonałe, na cyplu pod starą jodłą. Przychodzę na miejsce, siadam wygodnie na krzesełku, plecyma opieram się o jodłę, wydeptuję cichuteńko miejsce na nogi, a wiedząc z doświadczenia, że nagonka musi daleko obchodzić i najmniej pół godziny trzeba czekać na sygnał, pociągam przyzwoicie z manierki, przytykam czekoladą, ażeby nie wietrzało, a ponieważ wiaterek podmuchiwał od miotu, opieram nabitą już strzelbę ostrożnie o jodłę i zabieram się do skręcenia papierosa.

W tej chwili spostrzegam, że między mną a sąsiadem na lewo wymyka lis z miotu. Mój sąsiad, wiceprezes Tow. ochrony zwierząt łownych, ma zwyczaj na stanowisku ochuchiwać strzelbę i oczyszczać ją rękawem.

I teraz zajęty jakąś plamką na lufie nic nie widzi. Porywam więc strzelbę, wypuszczam lisa na jakie 45 do 50 kroków, wytrzymuję należycie, nakładam na głowę, trzask . . . . . lis ruluje w ogniu, i zaczyna pisać testament. Już mam łamać strzelbę do ponownego nabicia, gdy spostrzegłem, jak poza plecy myśliwych sunie drugi lisiura wprost na leżącego, do mnie kulawym sztychem. „Ki licho“, myślę sobie, czy to rejent, czy doktor lisi, czy i lisowi nie wolno ginąć spokojnie bez pomocy doktora? Ale poczekaj bratku, i tamtemu nie poradzisz i sam nałożysz głową.

Tak byłem pewny strzału, że byłbym skóry żyjącego jeszcze lisa nie sprzedał za 4 korony i 98 groszy; miałem bowiem tę szesnastkę roboty Tabaczkowskiego, znacie ją, to żądełko, z której to gruchnąłem u Stasia koperę na 128 kroków już nad . . . . „Kroki walutą koronową“. . . .

Że też Pan, Panie Stanisławie, wiecznie musisz być w opozycyi. Kroki liczył pański gajowy z własnego popędu. Skoro będziemy u Pana przyszły raz na polowaniu spytamy go, jaką walutę miał na myśli, raportując: 128 kroków! Mnie to zupełnie obojętne, ta strzelba ma już taką wyrobioną renomę, że nie potrzebuję jej sławy w L. zdobywać.

Tymczasem jadę dalej: Otóż jak powiedziałem, lis sunie drobnym truchcikiem, zamiata kitą i już się zbliża do nieboszczyka.

Podnoszę strzelbę, trzask i pan doktor zwala się na pacyenta. Ale zdaje się, że sytuacya ta nie musiała im zrobić wiele przyjemności, gdyż lisy zaczynają się w najokropniejszy sposób zażerać, tak dalece, że . . . . Znowu widzę na twarzy Stasia niedowierzanie. Ale czy Pan nie wiesz tego z doświadczenia, że skoro dwa psy się srożą na siebie i warcząc obwąchują, najgorzej jest jednego z nich uderzyć. Wtedy albo uderzony, prawdopodobnie w przekonaniu, że ten ból mu przeciwnik sprawił, rzuca się pierwszy, albo tamten rzuca się na uderzonego, ufny w pańską pomoc. A co na porządku dziennym u psów, zdaje mi się, nie jest możebnem u lisów.

Więc, jak powiedziałem, lisy zażerają się w najokropniejszy sposób, tak dalece, że mię lęk zebrał o skóry.

Już strzępy z nich wiszą; co mi powie Lubelski, to mój odbiorca, najlepiej płaci, to jego skóry, a już tyle kiepskich lisów mu wypchałem, że sumienie mi patrzeć dłużej jak lisy Lubelskiemu i te skóry psują.

Nabijam więc szybko pukawkę, wyczekuję, ażeby chwycić obydwa łby i w danej chwili palę.

Dym mi uderzył w twarz, przyklękam na śniegu, zaglądam po pod dym, ale cóż to, z lisów ani śladu. Czy mię okulary zawodzą? Chwytam za binokle, widzę doskonale dosyć dużą przestrzeń rzadkiego lasu, ale nietylko nie widzę lisów umykających, ale w miejscu, gdzie się tarzały, ani farby ani najmniejszego śladu nie mogę odkryć. „No teraz to już się Pan gruntownie zasypał. Przecież słyszeliśmy, że dzień był prześliczny, śnieg dosyć głęboki, pulchny a tak równiutki jak pierzyna na szwabskiem łóżku. — Jakżeż to pogodzić z tem, że lisy rzucając się, nie pozostawiły śladów. Po uroczystem pańskiem przyrzeczeniu, że usłyszymy czystą prawdę, prawie że wierzyłem dykteryjce, ale teraz już jestem zupełnie przekonany, że wszystko od a aż do z jest bajką“.

Ależ panie Stanisławie, nie bądź pan takim gorączką. pozwól pan niech skończę, zaraz panom dowiodę, że to nic nieprawdopodobnego. A na drugi raz specyalnie dla Pana Stanisława każdą historyę będę opowiadał od końca.

Otóż wracam do chwili kiedy na stanowisku siadłem wygodnie na krzesełku, serdecznie pociągnąłem z maniery

i zabrałem się do kręcenia papierosa. Śliczny dzień, ciepło i hauścik wiszniówki tak mię rozmarzyły, że usnąłem, a całą przygodę z lisami przeszedłem we śnie.

Jedynie ten strzał trzeci, którym to chciałem skóry lisie salwować, był rzeczywistością, a padł on ze strzelby mego sąsiada wiceprezesa który przyglądając się jakiemuś spacerowiczowi z rodziny sarn, przechodzącemu pomoli między nim a mną, spostrzegł mnie klęczącego pod drzewem bez strzelby, a że to chłopak w dzień powszedni od 8 rano do 5 po południu przytomny, domyślił się zaraz, że ja śpię i wywalił na wiwat, by mnię zelektryzować.

. . . .

Filip! kółko piwa! *S.*

KORESPONDENCYE.

Nuszcze, 28. czerwca 1900.

Dotrzymując przyrzeczenia, donoszę, że w lasach Nuszczańskich znaleziono padłych 30 sztuk sarn, zaś w sąsiednim lesie Kabarowieckim 9 sztuk rogaczów i siuty, w skutek tego naturalnie zwierzostan znacznie się zmiejszył.

Ciągu słonek prawie jakby nie było, ubito tylko 3 sztuki. Zajęcy dosyć jest, ale marcowy rzut przepadł.

Kuropatwy powinny być, gdyż tu widziałem kilka par a to u nas już coś znaczy. Na dziki także nadzieja, bo już się zalecają do kartofli. Kłusowników prawdziwych. tak bardzo nie ma, chyba ktoś inny się zmiłuje... i urwie koło granicy rogacza, ale to jeszcze można wytrzymać.

Ucieszył mnie bardzo artykuł p. Gołębskiego z Szumlan z 1-go kwietnia b. r., traktujący o włóczących się psach i t. d. Znam te strony i ten cudu dokaże, kto tam do możliwego zwierzostanu doprowadzi. Co do grzywny za włóczące się psy, to pomimo opozycyi kilku powag w łowiectwie, trzymam jako praktyk stanowczo z p. Gołębskim, bo tylko w ten sposób psy nie będą plagą dla zwierzostanu, a na dowód tego pozwolę sobie przytoczyć kilka uwag. Ustawa polowa nakłada na każdego właściciela nierogacizny dość dotkliwą karę 2 kor. od sztuki za nieprawne puszczanie świń na cudze grunta, oprócz obowiązku zwrotu wyrządzonej szkody. Przyzna mi chyba każdy, że we wsi łatwiej poznać można, czyj jest pies, niż czyja nierogacizna. A przecie do chwytania nierogacizny osobnych oprawców się nie trzyma — a tylko tak surowa kara powstrzymuje trochę od robienia szkód. Teraz dalej, jeżeli pies zadusi obcą kurę, gęś, prosię i t. d. to jego właściciel musi zapłacić szkodę, a jak już kogo ugryzie, no, to właściciela i do kozy zamkną.

Dlaczego tylko ta biedna zwierzyna z pod tego prawa jest wyjętą. że nawet kura ma większą ochronę przed psem? Chyba dzierżawca polowania gminnego, bo te mam na myśli, nie jest właścicielem zwierzyny, a to co innego, jeżeli tylko dla honoru ma płacić nieraz nawet dość znaczne kwoty, by potem za rok cały nawet jednego zajączka nie ubić.

W zupełne pozbycie się psów przez strzelanie włóczących się, prawie nie wierzę. Tyle ma się i już i swego doświadczenia i od kolegów się słyszy, że co do tego wątpliwości nie ma. Tylko nałożone grzywny na właściciela włóczących się psów trochę pomogłyby. Zawsze mówi się tylko o włościanach, ależ przecie nietylko włościanie mają psy, n. p. taki małomieszczanin, ta on sobie formalnie kpi z dzierżawcy polowania. Niech no by spróbował mu psa zastrzelić. Taka próbka odbyła się raz koło miasteczka Zborowa, strzelający był kontent, że uszedł cało.

Adolf Korpak, leśnik.

Przystań — Mosty wielkie, d. 8. czerwca 1900.

Daruje mi szanowna Redakcya, że pomimo uczynionego tak wielkiego zaszczytu ze strony Towarzystwa łowieckiego przez mianowanie mnie delegatem na powiat żółkiewski, dotychczas nie wywiązałem się przynajmniej z obowiązku zasilania korespondencyą łamów „*Łowca*“ — tłómaczę to jednak tem, że rozliczne zajęcia a tem samem brak czasu, nie pozwalają mi na żywszy udział w pracy, zapewniając jednak najsolenniej szanowną Redakcyę, że mam zamiar się poprawić, pragnę podzielić się z szanownymi czytelnikami „*Łowca*“ — wiadomością o szczególnym wypadku, który próbuję tutaj bodaj w krótkości opisać.

Jako motto niechaj posłuży zdawna utarta maxyma: „Do wszystkiego trzeba mieć szczęście“. A szczęście to w całej pełni posiada bliski mój sąsiad p. Stanisław Nieczuja Śnieszko, właściciel Lubelli — który, nietylko doprowadziwszy z niczego, bo formalnie z nieużytków gospodarstwo rybne do punktu kulminacyjnego — potrafił wynaleść torf, którego eksploatacyę postawił na wielką skalę, lecz także na obszarze leśnym 147⁰ morgowym wraz z włączonymi w to stawkami i torfowiskiem, posiada polowanie takie, że niejeden większy obszar pozazdrościłby mu tego terenu.

Dość zaznaczyć, że w tegorocznym sezonie zimowym na czterech polowaniach w cztery strzelby zabiliśmy 8 rogaczy, 15 zajęcy, 2 lisy i 2 cietrzewie, — w lecie zaś i w jesieni 32 kuropatw, 112 kaczek i 17 kszyków. Pomijając jednak to wszystko a wracając do założenia, że we wszystkiem trzeba mieć szczęście — donoszę, że roku zeszłego, dnia 12. maja, otrzymuję od p. Śnieszki kartkę tej treści: „Dziś rano na polach moich zabiłem jelenia proszę natychmiast przyjechać“. Prędzejbym nie wiem w co uwierzył, jak w to, że Lubella prócz ryb, torfu, marglu

i innych tym podobnych dostatków, posiada jeszcze jelenie; jadę jednak co koń wyskoczy i rzeczywiście trafiam na fakt obielania tęgiego jelenia o przepysznych grandlach, a p. S. rozpromienionego z radości i witającego mnie słowy: „popatrz pan, czego tu w Lubelli nie ma? W końcu pokazało się, że to jeleń z za kordonu, z rozpuszczonego zwierzyńca hr. Zamojskiego, zawędrował pędzony od wsi do wsi, aż na pola Lubelli.

Że to był wypadek szczególny — jeleń na piaskach — nie da się zaprzeczyć, ale wypadek, który niżej przytoczę pomimo, żem prawie był naocznym świadkiem, wydaje mi się prawie nieprawdopodobnym.

Dnia 7-go b. m. został p. S., o godzinie 4-tej rano zbudzony raptownie z błogiego snu pukaniem do okna i słowy: „Proszu pana didycza wstawaty hudko, bo pietoro dykiw wlizło do ohroda“. Na takie dictum wstaje p. S., zbiera się co sił starczy i łapie czemprędzej za strzelbę i sztuciec „Pipera“ wybiega przed ganek i widzi jak pięć dzików defiluje obok kapliczki Matki Boskiej, umieszczonej w uroczym klombie obok bramy, a kilkudziesięciu ludzi ze wsi trzyma bramę i krzyczy w niebogłosy. P. S., jako wytrawny myśliwy, z zimną krwią i całym spokojem ostrzega ludzi, aby się ustąpili i nabija Pipera (gdyż do lankastrówki wziął ładunki śrótowe) — cóż kiedy pokazuje się, że w pośpiechu wziął wprawdzie ładunki, ale zamiast sztućca, wziął flobert — wraca więc jak niepyszny, z przyjemnym na ustach wyrazem, do pokoju, bierze prawdziwy sztuciec, wybiega — niestety dziki wyłamały bramę i w nogi — chłopstwo za nimi, dziki przestraszone, a do tego ciągłem pędzeniem okrutnie zmęczone, wpadają do pobliskiej chłopskiej zagrody, — chłopstwo zamyka wrota, nadbiega p. S. i upatrzywszy stosowną chwilę dwoma celnymi strzałami, oba za ucho kładzie parę bardzo ładnych warchlaków, dwa zaś warchlaki i locha rozpędzając chłopstwo, przesadzają wrota i przez rzekę pędzą do jeden kilometr odległego lasu Butyńskiego. P. S. w tej chwili przysyła konnego posłańca, donosząc o swym rannym tryumfie, oraz prosi, by zaraz przyjechać i zrobić obławę, by módz dostać jeszcze te trzy dziki. Zebrawszy na prędce trochę nagonki wzięliśmy parę miotów w lesie Butyńskim — niestety dzikom widocznie dosyć było już tego dobrego, pozostawiwszy na na placu boju dwa trupy, i nie życząc sobie dalszego spotkania z celnymi strzałami p. S., któremu kto wie, czy Dyana nie złożyłaby jeszcze trójki dziczej pod stopy, czmychnęły w głębokie łęgi wuleckie.

Kończąc, wrócić muszę raz jeszcze do tego szczęścia, bo, mój Boże, ileż to razy wyjeżdżałem w nocy na zasiadkę na stada dzików, które wychodziły z lasów Chlewczańskich, wyrządzając ogromne szkody na polach włościańskich, a nigdy nie miałem tej przyjemności, już nie mówię strzelania do dzika, ale bodaj zobaczenie tej imponującej czeredy, o jakiej mi gajowi raportowali. Zawsze jednak po takiej nieudałej wycieczce pocieszał mnie stary jednooki gajowy Semen: „Proszu Pana, naj się Pan nie hniewajut, ale lipsze szczastie jak hotowe hroszy“.

Z tego wszystkiego widzę, że to jest szczerą prawdą, a teraz mocno przekonany o szczęśliwej gwieździe p. S. nie zdziwiłbym się, gdybym otrzymał kartkę tej n. p. treści „Przyjeżdżaj Pan zaraz, gdyż w lasach lub polach moich mam otropionego lwa lub tygrysa“.

Władysław Radzikowski, delegat żółkiewski.

Krzywcza nad Sanem, d. 10. lipca 1900.

Rzadkie polowanie na wydry.

Było to w roku 1896-tym, ukończywszy studyum leśnicze, przed znalezieniem jakiejś posady, udałem się do ukochanej Tarnawki, w powiecie przeworskim, gdzie i dawniej u brata mojego, nadleśniczego, spędzałem mile wakacye, rozwijając swoje zdolności myśliwskie.

Tem chętniej witany tam byłem, gdyż byłem bratu wielką pomocą w tępieniu drapieżców, które namiętnie prześladować umiałem i wiele tam takich uskrzydlonych i czworonogich drobniejszego rodzaju rozbójników poległo z mej broni.

Pomijając wiele zdarzeń mniejszego znaczenia, ośmielam się zająć Szanownych Czytelników „*Łowca*“ krótką opowiastką o spotkaniu się z wydrami, zwłaszcza, że zwierz ten dosyć rzadki, więc niejednego zaciekawić może.

Było to w styczniu; śnieg dosyć znaczny i mróz kilkunastostopniowy, wyszedłem z rana do lasu w celu tropienia tumaków, których tam znaczniejsza ilość w tym roku się rozmnożyła, a szczęście sprzyjało mi, gdyż sześć okazów tej zimy przeważnie z gniazd wiewiórczych wytrąciłem. Śnieg przyprószył nocą, przechodząc przez wąski strumień leśny, zauważyłem świeży trop 3-ech wyder, które korytem strumyka w głąb lasu pociągnęły.

Poszedłem za ich tropem, studyując przytej sposobności pilnie po tropach w jaki sposób ten rodzaj zwierza uwija się za zdobyczą, składającą się z ryb, raków i drobnych małżów, z których cząstki na lodzie znachodziłem.

Tak przebyłem drogę około dwóch kilometrów od miejsca spostrzeżonego tropu, w rozpadlinie brzegu ginie trop, prowadzący prosto do świeżo wygrzebanego otworu, pomiędzy korzeniami drzew; obszedłszy pilnie miejsce zauważyłem nieopodal drugi otwór śniegiem przesypany. Wtedy po namyśle założyłem otwory drzewem, udałem się do domu po pomoc do brata, z którym tą satysfakcyą chciałem się podzielić, tem bardziej, że nie mogłem, mając tylko dwie lufy do dyspozycyi, marzyć o zabiciu trzech wydr.

Przybywszy do domu nie zastałem brata, gdyż wyszedł do rewiru niewiadomą drogą, zaopatrzyłem się więc tylko w drugą strzelbę, zabrałem dwóch chłopaków, z których jednemu poleciłem rozkopywać jamę a drugiego użyłem do trzymania mi pod ręką drugiej nabitej strzelby. Stanąłem obok jednego otworu a w drugim rozpoczęła się ziemna praca, która z powodu zamarzłej ziemi zaledwie zapomocą siekiery uskutecznić się dała.

Po niespełna jednogodzinnem kopaniu, dały się zapomocą kija wypchnąć z otworu wszystkie trzy wydry i jedna za drugą wyskoczyły w koryto strumienia. Dubletem bardzo szczęśliwym ubiłem dwie, zanim jednak zdołałem chwycić za drugą strzelbę, gdyż o ponownem szybkiem nabiciu pierwszej nie było co myśleć, trzecia wydra, widząc na zawadzie trupy swych towarzyszek, sprężystym susem wbiega w gęsty przyległy drzewostan i tuż, tuż miała mi zginąć z oczu, jednak udało mi się chwytnym strzałem pomiędzy drzewami dosięgnąć jej jeszcze i stała się także moją zdobyczą.

Z wielkim tryumfem powróciłem do domu a przy herbatce wieczornej interesującem opowiadaniem o przeprowadzeniu z zimną krwią całego polowania, zająłem mego kochanego brata, który jako wytrawny myśliwy,

przyznał mi, że polowanie to urządziłem sobie bardzo zręcznie.

Mieczysław Korasiewicz.

Nadspodziewane łowy.

Dziwnym może wyda się ten tytuł Szanownym Czytelnikom „*Łowca*“ a to z powodu wcale nielicznego rozkładu. Otóż zadziwić to nie powinno, gdy powiem, że polowanie, o którego rezultacie chcę pisać, odbyło się w niewielkiej, w górach położonej kniei, nie obfitującej w liczniejszy stan zwierzyny, przy małej ilości nagonki i myśliwych, wobec czego śmiało rzec można, że rezultat był imponująco piękny.

W rewirze Chyrzyna, położonym na prawym brzegu Sanu, należącym do dóbr Krzywieckich, odbyło się w dniu 28. grudnia 1899 roku małe polowanie. Drużyna nasza liczyła trzech starszych a trzech młodszych, początkujących myśliwych, dla których to głównie polowanie urządzone było.

Knieja Chyrzyńska obfituje przeważnie w liczniejszy stan jarząbków i na te najwięcej się reflektowało, dziwny jednak zbieg okoliczności zrządził, że po wzięciu 6-ciu niewielkich miotów leżało na rozkładzie:

2 dziki, 2 rogacze, 2 zające, 2 jarząbki i jeden lis.

Nadmienić wypada, że było tylko jedno pudło do lisa, którego właśnie brakuje do zaokrąglenia cyfry a do tego pudła z bolem serca sam się przyznać muszę.

Mieczysław Korasiewicz.

Lozówka pod Trembowlą, 15. lipca 1900.

Dnia 4. lipca, o 5-tej popołudniu, wracałem z dwoma robotnikami po odebraniu wykopanych rowów, koło moich pól, do domu. Nagle widzę jakby jakąś czarną wielką plamę, przesuwającą się przez drogę, z przenicy do owsa, na 100 do 120 kroków przedemną. Obaj robotnicy, którzy szli nieco przedemną, biegną ile sił starczy i biją w koło siebie jakieś zwierzątka, które do nich skaczą. Zanim dobiegłem, zniknęło wszystko w owsie — na placu zostały cztery zabite młode kuny — ale już kompletnie rozwinięte, bo mierzą 48 do 50 cm. długości.

Całe stado liczyło najmniej ze trzydzieści sztuk — i przypuszczam że to kilka rodzin urządzało wspólne polowanie, bo właśnie obok owsa było koniczysko, które się przeorywało, a w którem bardzo dużo było myszy. Że ich robotnicy więcej nie zabili, należy temu przypisać że jeden miał tylko cienki metr w ręce, drugi zwinięty sznur, którym rowy odmierzalnm. Posłałem natychmiast po strzelbę i legawca, przeszukałem cały owies i okoliczne pola — nie znalazłem jednak nic.

O. Baborsky.

Sprawozdania delegatów.

Z Bireckiego dnia 14. marca 1900 r.

Sumienie delegata zniewala mnie, ażeby choć coś niecoś o sprawach myśliwstwa i łowiectwa donieść do „*Łowcu*“ i z tej okolicy, zwłaszcza że dotąd nie znalazłem nigdy w „*Łowcu*“ żadnej nawet najmniejszej wzmianki o jakich polowaniach lub wogóle o stanie łowiectwa w Bireekiem.

Okolica Birecka okolona od północy Krępakiem aż po działy Olszańskie i Cisowskie, od wschodu Chwaniowem, od południa Słonnem, a od zachodu Sanem — tworzy teren górzysty, okryty gęsto lasami, przeważnie jodłowemi, w pośród których spotyka się nierzadko i prastare buki obok gonnych sosen. Wśród ornych pól mnóstwo potoków i potoczków, zarośniętych krzakami a niebrak też i różnych pagórków zwykle włościańskich szczelnie pokrytych jałowcami, co się u nich nazywa „paświskiem“ a jest eldoradem zajęczym, kuropatwim rajem dla kwiczołów i jemiołuchów; — po zrębach orzyny i maliny upstrzone jarzębiną, cóż to za specyały dla jarząbków, co za żer dla sarn! Zdawało by się więc . . . . . Tak — zdawało by się, ale naprawdę — to właściwie nie ma o czem tak dalece pisać i donosić z okolicy Bireckiej, w której z wyjątkiem klucza, składającego się z miasta Birczy i wsi, położonych w koło miasta tworzących kompleks większy i stanowiących własność jednego właściciela — i dóbr składających się z Ulucza, Borownicy i Roszówki *cum attinentiis*, stanowiących własność również jednego właściciela, reszta całej okolicy Birczańskiej, sąsiadując z sobą, stanowi wsie należące do pojedynczych właścicieli, w których bez wyjątku prawie wszyscy są właścicielami prawa polowania.

Najpierwsze miejsce zajmują panowie właściciele dóbr żydzi, potem właścicielki dóbr, dalej tacy, co nawet nigdy strzelby do ręki nie biorą — reszta dziedzicznych wiosek pozostaje w ręku myśliwych starej daty „zacofańców“ — co to polują jeszcze na sposób swoich praojców, to jest z gończymi psami. Tak — zacofańcy, lecz o dziwo, u tych najwięcej zwierzyny i co lepsza, najwięcej przyjemności w polowaniu.

Jest tu także kompleks wsi jak Pracówka, Piątkowa górna, Piątkowa dolna, Sufczyna, Kotów, Rudawka, w ostatku Lipa górna, Lipa dolna i Żohatyn. Aczkolwiek każda z tych wsi do innego właściciela należy, tworzą one jednak znaczną przestrzeń przezto, że lasy tych dóbr łączą się prawie nieprzerwanym łańcuchem w okrągły wieniec lasow i składają się z jodeł, buków, sosen a i trochę z dębów. W tych to lasach oprócz sarn stadami, zajęcy, kun, lisów i jarząbków mają dziki swe prastare mioty, tu się wywodzą i stale przebywają, tu one mają obfity żer, bądźto w korzeniu młodej sosniny, wybornej bukwi i apetytnej żoledzi, w bądźto smacznych wśród lata kartofli po polach a niezłą też przekąskę znajdują w owsach a szcze-

gólnie w bobie. I jakżeż tu im taką okolicę porzucać? przenigdy.

Wyjąwszy Rudawki, centralnego punktu siedziby, dzików, gdzie właścicielem tych dóbr jest pan Sędzia Henryk Kapiszewski, sam osobiście myśliwy, lecz jako sędzia niezamieszkały w niej, i p. Floryana Kozłowskiego z Lipy, który również jest, ba nawet zawołanym myśliwym, reszta panów właścicieli w wymienionych wsiach, są to albo żydzi, albo tacy panowie — którzy uznali od dawna za słuszne nie mieć nic do czynienia ze strzelbą tem mniej z polowaniem; — to też gospodarzem w tych lasach i kniejach pod względem polowania, z łaski uprzejmych sąsiadów, jest p. Floryan Kozłowski z Lipy. Ma on wyborne do dzików psy, kilku wytresowanych ze straży leśnej w tym celu strzelców i przedziwny sztućczyk ekspres od Dzikowskiego, — cacko, lekki i zgrabny, jak panienka a trafiający kulą nawet sroki w lot; — niemałe też wyłomy robi ten dzielny myśliwy i doskonały strzelec w tej dziczej fortecy, bo co roku pada z jego ręki po kilka olbrzymich odyńców, padają stare lochy i różne warchlaki a mimo to, dziki tych kniei się trzymają i zawsze w tych lasach są i są.

Jest tu jeszcze jedna wielka wieś w Bireckiem, zasługująca na wzmiankę, składająca się z dwóch gmin a mianowicie z Dobry szlacheckiej i Dobry rustykalnej. Te dwie gminy w połączeniu razem posiadają kilka tysięcy morgów obszaru, w czem sama Dobra szlachecka posiada 1200 morgów wysokopiennego bukowego i jodłowego lasu gminnego, a nadto obie gminy razem posiadają jeszcze z jakich 1000 morgów wśród pól ornych porozrzucanych różnych potoki i gajów z drzewostanem, tudzież pastwiska zarośnięte jałowcami, w których i zając i lis tak lubi przebywać, kuropatwa się wywodzić a stada kwiczołów, paszkotów i jemiołuchów mają swój obfity żer, ale niestety . . . . lecz o tem potem.

Należy mi bowiem zacząć, chcąc coś podać do wiadomości czytelników „*Łowca*“, o polowaniach z Bireckiej okolicy, od klucza dóbr Birczy i klucza dóbr Uluckich jako obszerniejszych kompleksów, będących w jednym ręku.

Właściciel dóbr Birczy od kilku lat zaprowadził u siebie pod względem myśliwskim porzadek, że się tak wyrażę postępowy, lasy podzielił na rewiry, sekcye, poprzecinał linie i wydał dekret strzelania psów, kotów i wszelkiego drapieżnego zwierza. Z początku gwałt się zrobił pomiędzy sąsiadami, zwolennikami polowania z psami, ale niebyło pardonu — pomimo hałasu strzelano psy, a gdy i leśnictwo w skarbie Ulucki to samo zaprowadziło, zaroiło się od sarn, gdzie przedtem chyba w roli turysty, jak sarniuk się pojawił roją się i w okolicznych lasach gdzie je mieć chcą i szanują.

Odtąd każdego roku w myśliwskim sezonie odbywają się w Birczy powtarzające się polowania z nagonką przy udziale zaproszonych gości, rezultat jednak tych polowań nie jest i nie bywa prowadzony na ubicie setki sztuk zwierzyny naraz, choś się poluje często w 12 i 20 strzelb. Gospodarz zwykle po przejściu paru miotów, gdy już zostało ubitych kilka sarniuków, kilkanaście zajęcy a do tego jeszcze i jaki lis i jaki jarząbek a czasem i potężny dzik, przerywa polowanie, każe rozłożyć ogień i podawać śniadanie. Pieką się więc kartofle przygrzewa się wysłany ze dworu bigos do tego chleb, masło, bryndza, wódeczka, znajdzie się i butelka piwa i butelka wina są i cygara, są i papierosy — więc jak z woru sypią się gawędki, opowiadania i facecyjki myśliwskie, humory się rozgrzewają, z jednej strony od rozłożonych ogni, z drugiej od wódeczki, szyneczki i „wirsztli“ z chrzanem, a zwykle chrzan mocny a piwo też grzeje i wino też grzeje. Ba, ale czas leci, nie stoi, jaki taki zaczyna się oglądać i mrugać po drugich okiem — ach on radby już skończyć i gawędę i śniadanie i dalej polować! Gospodarz jednak nie zdaje się tego spostrzegać, lecz tym pilniej animuje do przekąski — to po kieliszku tak zwanym „*repetatur dosis*“ to po kieliszku tak zwanym „*omne trinum perfectum*“ i t. d. i tak dalej, aż też i słońce zniża się ku zachodowi — naturalnie, że nie ma już czasu na branie więcej miotów — zwija się więc obóz i wszyscy wracają z polowania do dworu w wesołym humorze. A we dworze znów zwykła niespodzianka, zjechały panie z sąsiedztwa, więc po obiedzie ktoś tak sobie od niechcenia siada do fortepianu i zaczyna wygrywać, więc tańce i ni z tego ni z owego zabawa gotowa.

I bawiono by się chętnie i wesoło, dla czegóż by nie, zwłaszcza gdy jest młodzież — ale cóż, kiedy tak dobrze już z północy i gdy młodzież w najlepsze rozbawiona mimowoli rozkoszującemu się tą zabawą, myślącemu o uprzejmej i serdecznej gościnności gospodarza gościowi, nagle ni stąd ni zowąd, jawi się przed myślą — proszę zgadnąć kto? Oto nie kto inny, tylko wielce szanowny pan inspektor podatkowy z fasyą w ręku na podatek osobisto dochodowy a zanim wolno i z powagą stosownie do swego urzędu, krok w krok postępuje bardzo przyzwoity sekwestrator. Ot i po zabawie — bo niema żartu z taką choćby tylko wizyą! Każe się więc zaprzęgeć a wnet za przykładem pierwszego rozjeżdżają się wszyscy, dziękując Szanownemu Gospodarzowi za już a prosząc o jeszcze.

Z niejakiem zadziwieniem powie może kto, a cóż mi tam za ciekawa wiadomość o polowaniu, na którem pada kilka zajęcy, parę sarniuków i na tem koniec, choć można było dalej polować, zamiast rozpalać ognie, czas tracić na śniadaniu i prawie z niczem powracać do domu. Ej nie jest to tak źle jakby się zdawało — sądzić by raczej należało, że dziedzic klucza Bireckiego słusznie robi wyprawiając polowania za nagonką, iż u siebie niepozwala tłuc bez rachunku i miary sztuk zajęcy lub po kilkadziesiąt sarn i innej zwierzyny na jeden dzień i raz do roku, bo tym sposobem mając obszerniejszy rewir może w jednym sezonie kilka i kilkanaście razy mieć przyjemność i rozrywkę polowania wraz z zapraszanymi gośćmi, których jeszcze w dodatku obdarowuje zwierzyną resztę przeznaczając na zapas do spiżarni lub na dalej rozesłane prezenta. To też według mnie daleko jest przyjemniejsze wyprawianie takich polowań, powtarzających się częściej niż jedno raz do roku, niż sprawianie, że się tak wyrażę, rzezi, na raz kilkuset ba nawet tysiącu sztuk zającom. Ale co kraj to obyczaj, a wreszcie niech każdy poluje jak kto chce, jak komu dogodniej i jak się komu podoba — byle o zasadach myśliwskich nie zapomniał

W ten sam sposób mniej więcej jak w Birczy, odbywają się polowania z nagonką i w skarbie Uluckim, gdzie stan zwierzyny jest wysoko doprowadzony, szczególnie co do sarn.

Błotnych polowań w całym okręgu Bireckim nie ma zgoła żadnych, nie bez tego jednak by tu i owdzie nie trzymano legawca do polowania na przepiórki, chruściele i kuropatwy a tych ostatnich jest dosyć i było by ich bardzo wiele, gdyby nie nadzwyczajna ilość rozmaitych ja-

strzębi a przedewszystkiem tych gołębiarzy i kuropatwiarzy, tych najdrapieżniejszych zbójów, które kuropatwy przy pomocy kłusowników bez miłosierdzia całemi stadkami do szczętu niszczą. Są też i to dosyć gęsto — jarząbki po lasach, ale te znów mają swego śmiertelnego wroga w lisach a jeszcze bardziej w kunach, które je dziesiątkują — a kunę nie tak łatwo wytępić. Słonek bardzo mało i ma się rozumieć, że będzie ich coraz mniej — jeżeli je dalej na wiosennym ciągu wystrzeliwać będą aż też przyjdzie do tego, co i z przepiórkami, które to ptactwo, jak to opisują, gdy odciąga od nas w cieplejsze kraje, tam gdzieś na ciągu ponad morzami również bez miłosierdzia krociami i tysiącami mordują. Do niedawna jeszcze, jakaż to obfitość była u nas przepiórek, gdy się polowało z legawcem po ścierniach i łąkach — a ile słonek w jesieni — a teraz coraz mniej ich na wiosnę coraz mniej w jesieni! (C. d. n.

Kronika.

Gazeta sportowa. Dnia 20. czerwca pojawił się pierwszy numer „Gazety sportowej", wychodzącej pod redakcyą p. Kazimierza Hemerlinga. Redakcya stawia sobie jako program podniesienie poziomu wychowania za pośrednictwem sportów. „Narody, które poznały doniosłe znaczenie sportów „w życiu społecznem, mówi Redakcya w artykule wstępnym, „stawiają je od lat wielu na pierwszym planie systemu wycho„wania. Prym tu wiodą Anglicy, u których sporty weszły „w krew i żyły całego społeczeństwa i doszły też do najwyż„szego rozwoju, a naród postawiły na czele cywilizacyi. U nas „sport jest synonimem „pańskiej zabawki" lub „dzieciństwa", „uważanym jest jako niepotrzebna rozrywka dla klas uprzywi„lejowanych, o którą nikt się troskać nie potrzebuje, a na „którą czas się niepotrzebnie traci. Człowiek, któryby sobie „u nas pozwolił nawoływać społeczeństwo do uprawiania „sportów, spotka się raczej z uśmiechem politowania lub ironii, „aniżeli z wyrazem uznania. Tego rodzaju spaczone zapatry„wania muszą byt nasz i siły nasze podkopywać, doprowa„dzać nas tylko do degeneracyi i upadku". Zdanie to jest zupełnie słuszne, choć obecnie można już stanowczo postęp ku dobremu stwierdzić. Obecne pokolenie wychowuje się przecież higieniczniej niż pokolenia z lat 1860 i 1870. Wtedy pod wpływem niemieckich pedagogicznych zasad uczono dzieci nasze bardzo wielu rzeczy niepotrzebnych — bez żadnego względu na zdrowie. Dzisiaj zwrócono się przecież do racyonalnego wychowania młodzieży i jest nadzieja, że bez ujmy dla nauki uda się uczynić z młodego pokolenia zastępy energicznych a nie bezkrwistych jednostek, zdolnych do samoistnego działania. Pismo, propagujące takie zasady, jest więc na czasie — i nie wątpimy, że znajdzie wśród naszego społeczeństwa poparcie.

Austryacka stacya myśliwska w północnej Ameryce. Na północy sławnego parku Yellowstone w stanie Wyoming — (jest to olbrzymi obszar, w którym zabronione jest pod najsurowszemi karami polowanie za wszelki rodzaj zwierzyny) — urządzono stacyę myśliwską austryacką, na której czele stoi p. Józef Staeler. Stacyi tej celem jest przyciągać myśliwych w te okolice, obfitujące w zwierzynę i zapewnić im pewne wygody, o które niełatwo w życiu myśliwego północno-amerykańskiego. Miejsce za stacyę wybrano w ten sposób, że można w niej obserwować wielkie wędrówki wszystkich gatunków amerykańskich jeleni. Można tu także spotkać się ze skazanym już na wyginięcie bizonem. Niedawno sygnalizowano, że niedaleko stacyi widziano 35 sztuk tej coraz rzadszej zwierzyny. Bizon stoi jednak pod ochroną prawa: nie wolno go strzelać pod grozą kary w kwocie 1000 dollarów lub 2 lat więzienia. Za to dozwolone jest polowanie na niedźwiedzie, wapiti i olbrzymie łosie amerykańskie i kto ma ochotę, ten może z zapewnieniem pewnych wygód polowania takiego użyć. Stadler mieszka w Elk P. O. United Conny, Wyoming Ameryka północna.

Wywóz zwierzyny z Austro-Węgier do Anglii. Od kilku lat zwiększa się eksport żywych kuropatw z Austro-Węgier do Francyi i Anglii, do Anglii w celach odświeżenia krwi tamtejszych kuropatw, do Francyi celem rozmnożenia tej zwierzyny na obszarach, na których je do szczętu przy tamtejszej gospodarce łowieckiej wybito. Ten wywóz z roku na rok się powiększający zaczął się nie podobać niektórym angielskim dziwakom, którzy uważali sobie to za ujmę, że do ich kraju taki wysoki import zwierzyny się odbywa. Sprawa ta znalazła odgłos na łamach kilku pism peryodycznych. Zaczęto tłumaczyć sprowadzającym kuropatwy myśliwym, że akcya ta nie przynosi pożytku, gdyż kuropatwy węgierskie nietylko nie nadają się do odświeżenia krwi ale nawet rozmnażaniu się kuropatw miejscowych szkodzą. Czeskie kuropatwy znajdują jeszcze łaskę wobec tych panów — węgierskie — stanowczo są potępione. Ażeby dla swego twierdzenia pozyskać poparcie znanej powagi wysunęli pierwszego swego zoologa łowieckiego, Tegetmayera, który przestrzega, aby czystej krwi kuropatwiej angielskiej nie kazić przymieszką obcej krwi i to oczywiście niższego gatunku. Twierdzi on, że kuropatwy angielskie i nasze pochodzą z tego samego gatunku, dlatego nie mogą przez połączenie zyskać na ilości i sile rozmnażania się. Jeżeli już potrzeba wymiany krwi, to zdaniem jego wystarczy, jeżeli się wyłapane w innej okolicy Anglii kuropatwy puści do terenu, potrzebującym odświeżenia krwi. Że takie produkty skrzyżowania są mocniejsze i wytrwalsze twierdzi Tegetmayer stanowczo — przyczem jako przyczynę ujemnego wpływu węgierskich kuropatw podaje on to, że przez długą i męczącą podróż doznają one takich uszkodzeń na zdrowiu, że nie mogą się przyczynić do poprawienia rasy miejscowych kuropatw. Nie radzi zatem sprowadzać żywych kuropatw — a już stanowczym jest przeciwnikiem sprowadzania jaj kuropatwich. Twierdzi on, że żaden właściciel terenów myśliwskich w Austryi nie każe wybierać jaj, że wskutek tego te jaja, które mogą być przez Anglików zakupione, pochodzą z kradzieży. A ponieważ nie można przypuszczać, żeby porządny człowiek kupował rzecz kradzioną, nie można na zakupywanie takich jaj zezwalać swojemu łowczemu. Każdego hodowcę kuropatw uderzy odrazu mylność zapatrywania Tegetmayera, który widocznie o stosunkach racyonalnej hodowli nie jest należycie poinformowany. Jest przecie rzeczą znaną, że kuropatwy wychowane w klatce doskonale się mnożą. Im naturalniej złapane kuropatwy są żywione, tem pewniejszy skutek. Jaja mrówcze, bułka w mleku rozmoczona, w końcu jaja drobno posiekane utrzymują młode kuropatwy zdrowo, jeżeli teren, na którym muszą się chować, jest suchy. Twierdzenia Tegetmayera spotkały się z zaprzeczeniem własnych jego ziomków, którzy ze sprowadzonemi kuropatwami poczynili doświadczenia i za sprowadzaniem kuropatw gorąco przemawiają. Odmiana krwi jest koniecznie dla należytego rozwoju pewnego gatunku zwierzyny potrzebna. Jeżeli się ją wywołało pomiędzy indywiduami jednego szczepu, to może okazało się to dla jednego konkretnego wypadku i dla jednej generacyi dobrem i pożytecznem — ale ogólniejszego znaczenia mieć to nie będzie. Jest to zresztą rzeczą udowodnioną, że w Anglii sprowadzone z Czech i Węgier kuropatwy przyczyniły się do podniesienia płodności miejscowych kuropatw i sprawiło, że są one obecnie większe i silniejsze. Lord Lilford przez sprowadzenie węgierskich kuropatw w jednym roku, jak sam stwierdza, podwoił rozkład. Produkty krzyżowania są wytrzymalsze na wiatry i niepogody i wychodzą zwycięsko z walk z miejscowymi kogutami, wskutek czego nie dopuszczają ich do rozpłodu. Dziwnem jest zatem, kończy n. ö. Mittheilungen, z których wiadomości te czerpiemy, dlaczego powstała taka burza przeciw czeskim i węgierskim kuropatwom.

Firma Teschner & Comp. właść. **W. Collath** we Frankfurcie nad Odrą ogłasza w najświeższych dziennikach

fachowych niemieckich, że zastosowanie automatycznych wizyrów przy drylingach jest jego wyłączną zapatentowaną własnością i że nie wolno ich umieszczać przy drylingach innych systemów. Urządzenie, o które chodzi, jest tego rodzaju, że przy trzyluťkach teschnerowskich najświeższego modelu, przy przesunięciu zamku na lufę ekspresową, podnosi się umieszczony na szynie wizyr. Co do tego urządzenia sprzeczne są mniemania, jedni z myśliwych twierdzą, że podniesiony niespodzianie wizyr przeszkadza w strzale, drudzy są zdania, że zwraca on niejako uwagę myśliwego na to, że to strzał kulowy i że dokładnie mierzyć należy.

Sokolnictwo jest także reprezentowane, jak podaje „Chasse illustrée“ na wystawie paryskiej. W parku Vincennes mają się odbyć popisy sokołów wszystkich możliwych ras. Do konkursu staną sokoły angielskie, arabskie, indyjskie i japońskie. Zwierzynę, na którą puszczane będą sokoły, stanowić będą gołębie, wrony, kuropatwy i inne ptaki.

Stosunki łowieckie we Włoszech. P. Antonino de Angelis opisuje te stosunki jak następuje: Obraz nie jest świetny. „Kraj nasz, pisze, jest o tyle ubogi w zwierzynę „stałą, o ile jest bogaty w zwierzynę przelotną. Zając jest „wszędzie rzadki z powodu wojny, jaką wydał mu człowiek „razem z drapieżcami czworonożnymi i skrzydlatymi. Kuro„patwa jest także rzadką na całym półwyspie, oprócz Abruzzów „i Umbryi. Sarna i dzik znajdują się tylko w uprzywilejowa„nych okolicach. W ogóle, myśliwy włoski interesuje się bar„dzo polowaniem na drobną zwierzynę, a skromny skowronek „jest przedmiotem zajadłego prześladowania. Tysiące i tysiące „siada ich na równinach apulijskich i rzymskich — wszystko, co żyje, od starego nemroda do panicza w kostjumie aksami„tnym i kołnierzyku wykrochmalonym, morduje biednego sko„wronka. W październiku i listopadzie kampania grzmi usta„wicznemi strzałami. Na równinie Foggia dzienna liczba ofiar „dochodzi do 1000 i 1200 sztuk. Na wysokich prętach umie„szczają strzelcy małe sowy, na które skowronki biją.

Piękne stosunki!

Piękny rozkład. 1378 kaczek krzyżówek i cyranek! Obraz niezwykły. Rozkładu tego dokonało trzydzieści trzy strzelby w El Gatha nad Nilem. Polowano na lagunach, znajdujących się już na granicy pustyni, wzdłuż kanału, który ciągnie się od południa ku północy na terenie piaszczystym i pokrytym gęstymi krzakami, zalewanymi przez wylewy Nilu. Polowanie odbywało się z nagonką i rozpoczęło się o 8-ej rano. Do drugiej godziny czas był bardzo niepomyślny, bo wietrzny, ale w końcu wiatr ustał, i drobny deszczyk zaczął padać, co bardzo sprzyja polowaniu na kaczki w tamtych okolicach. O 7-mej wieczorem było na rozkładzie 1378 kaczek i jeden zając.

Nowy rodzaj bażantów ks. „Walii. (Phasianus principalis). Pisma niemieckie podaję wiadomość, że okryty w Bela Murghab, w Afganistanie północnym przez Selatera bażant nadaje się bardzo do hodowania. Różni się on od chińskiego, zwykłego bażanta tem, że ma pióra o barwie czerwieńszej, niż zwykły bażant, na skrzydłach zaś, od bark począwszy, na sporą ilość piór białych. Lubi miejsca bagniste, porosłe trzciną i tu spędza dzień, czem różni się od bażanta zwykłego — na noc wraca do lasu. W Afganistanie znajdują się w niezliczonych ilościach. Podczas marszu 30-milowego (mile angielskie) zabili pp. Condie Stephensen i Dighton Probyn 400 samych kogutów tego gatunku bażanta. Major Yate pisze: Jest to rzeczą zadziwiającą, ile tych bażantów znajduje się w trzcinach tej doliny i tego roku zdaje się, że są one liczniejsze niż w roku zeszłym.

Nie znam takiego drugiego kraju na świecie, w którymby tyle można było bażantów zastrzelić, jak tu. 21 b. m. zastrzeliśmy ich 72, a wiele ich zbarczonych nie znaleźliśmy! Bażant ten nietylko brodzi po wodzie, żeby przejść z jednego miejsca na drugie, ale także pływa i przedziera się doskonale przez trzciny, stojące w wodzie głębokiej na 2 do 4 stóp. Ze względu na to, że lubi on takie bagniste okolice, których inne kuraki nie znoszą, byłoby rzeczą bardzo pożyteczną, wprowadzić ten gatunek bażanta jako zwierzynę łowną w Europie.

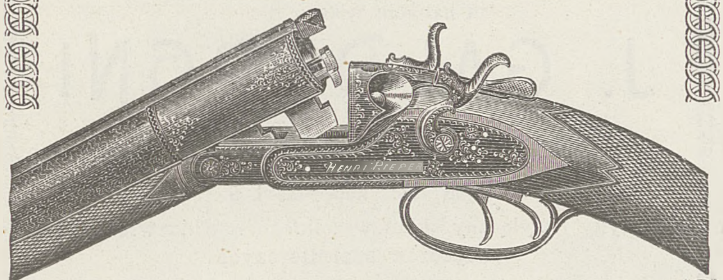
Czy lis łowi ryby? Na to pytanie odpowiada w „H. Hubertu“ p. J. Sauter z Neunthausen: W końcu grudnia roku zeszłego ubiłem lisa w chwili, gdy z małego strumyka wychodził z pstrągiem w pysku. Obserwowałem go długo, jak na rozmaitych miejscach strumienia pół metra mniej więcej głebokiego, skakał do wody za pstrągami — widocznie jednak bez skutku. Manerw ten wykonywał mykita w sposób następujący: Przyczołgał się ostrożnie do samego brzegu, ułożył się do skoku i znikał w jakiś czas jak błyskawica w strumyku, aby za chwilę na nowo się pokazać. Nie mogłem jednak niestety przekonać się, czy zanurzał się całkowicie w wodzie, czy tylko starał się rybę pyskiem pochwycić. Te interesujące skoki powtarzał tak długo, dopóki nie podszedłem go, korzystając z wyschłego łożyska strumyka, aż na 60 kroków. W chwili kiedym się podniósł, aby popatrzyć ku niemu, wyskoczył ze strumyka z pstrągiem w pysku, ale zobaczył mnie odrazu. Było to jednak za późno dałem ognia, poczem został na miejscu. Pysk, szyję i przednie łapy miał wilgotne. Szkoda, żem nie zrewidował zawartości jego żołądka — zdaje się, że byłbym interesujące rzeczy znalazł. W lecie 1898 r. złapałem starego mykitę w żelaza, które założyłem na płytkiem miejscu pod wodą na wydrę. Dowód, że rozbójnik ten w tym wypadku także chciał pościć. Jestem tego zdania, że lis nawet chętnie ryby łowi, szczególniej w czasie tarla ryb, gdyż wtedy łatwiej połów mu się udaje i w tym czasie musi niemało szkód wyrządzać. Trzeba tylko iść jego śladami wzdłuż rzek i rybnych potoków, a z pewnością dojdzie się przyczyny jego skrupulatnych inspekcyi brzegowych i znajdzie się miejsce, w którem udało mu się wynieść z rzeki kaczkę lub rybę.

OGŁOSZENIA.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyńcze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Coletha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Lwowska filia

Tow. wzjemnego kredytu w Krakowie

gmach Asekuracyi krakowskiej

we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 18.

przyjmuje

WKŁADKI

i oprocentowuje je po $4^1/_2$% od sta rocznie.

65—25—?

Do 2.000 koron wypłaca bez wypowiedzenia.

Julian br. Brunicki

w Podhorcach p. Stryj

poleca 9—6

Owsy

Kartofle

Drzewka

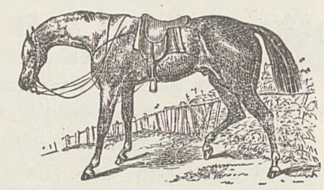
Krzewy

owocowe i ozdobne.

Narzędzia ogrodnicze.

Cenniki darmo i opłatnie.

Proszę powołać się na „Łowca“.



MICHAŁ WALICHIEWICZ

we Lwowie, ul. Kopernika

rok założenia 1863

111—17—24 poleca swój

SKŁAD i PRACOWNIĘ

wszelkich wyrobów wchodzących w zakres rymarstwa, siodlarstwa i bałożnictwa. Wszelkie zamówienia uskutecznia podług najnowszych wymagań. Przyjmuje również wszelką reperacyę i utrzymuje stale na składzie **mydła i tłuszcz do konserwowania skór,** jakoteż **lakier** do odświeżania i odnawiania tychże.

EMIL KUŹNICKI

FABRYKA

Papy dachowej, asfaltu, płyt izolacyjnych itp.

Oświęcim-dworzec

Filia: Lwów, Pasaż Hausmana l. 3.

Przedsiębiorstwo robót asfaltowych i krycie dachów ogniotrwałą papą.

132—17—24

NOWO OTWORZONY

Oddział Meliorocyjny

lwowskiej Filii

Banku gal. dla handlu i przemysłu

ulica Jagiellońska l. 3

wykonuje wszelkie prace melioracyjne, jako to: zdjęcia planów, wygotowywanie kosztorysów do drenowania pól, nawodnienia i odwodnienia łąk, budowy rowów, kanałów, dróg, szos, kolejek itp., i poleca się do praktycznego przeprowadzenia powyższych prac. Finansowanie uskutecznia się podług każdorazowej szczególnej umowy. W razie już gotowych planów nastąpić może na podstawie tychże wykonanie pracy.

Dyrekcya.

8—16

ROK ZAŁOŻENIA 1872.

C. k. uprz. pierwsza austr. 105—12—?

FABRYKA KONSERW ZUPOWYCH

Zygmunta Ruckera, we Lwowie

wyrabia konserwy grochowe, kminkowe, soczewicowe itd. w kostkach obliczonych na jedną porcyę zupy. Znakomity i bardzo tani posiłek na polowania, wycieczki itd. Sposób przyrządzania szybki i wygodny. Wysyłka na prowincyę odwrotną pocztą. - 10 sztuk **20 ct.**, 100 sztuk **1 zlr. 75 ct.**

W. PRIMUS i S. IGLICKI

we Lwowie

ulica Jagiellońska l. 12.

15—24

polecają swój bogato zaopatrzony

Magazyn materyj na meble, portyer, firanek do okien,

dywanów, chodników i dekoracyj pokojowych

niemniej w wielkim wyborze

kapy na łóżka i serwety na stoły; meble do salonów, sypialń, jadalni i męskich pokoi

TAPETY.

Własna pracownia tapicerska.

FARBY POKOSTOWE

zupełnie do użytku gotowe na najlepszym pokoście tarte, szybko schnące, trwałe, do wszelkiego użytku w gospodarstwie, we wszystkich kolorach.

Farby lakierowe szybko schnące dające kolor i szklisty połysk.

Farby na dachy olejne i terowe.

Lakiery, pokosty.

Pędzle i Szczotki do wszelkiego użytku.

Tektury do pokrywania dachów.

Ter gazowy i drzewny.

Carbolineum.

Farby do fasad i cementowe.

Cement i Gips.

Wapno hydrauliczne.

2–8 polecają najtaniej

FRIEDRICH I BEACOCK

Lwów, ul. Hetmańska 4, obok cukierni Wgo Grossa.

Najlepsze

Pałasze i szpady

do szermierki, model „SANTELLI"

do nabycia **tylko** u firmy

J. GALDERONI

Zakład mundurowania Pp. Oficerów i Urzędników

Lwów, ulica Kopernika l. 9.

Jedyny i wyłączny skład wszelkiego rodzaju **włoskich przyborów szermierczych.**

J. DĄBROWSKI

przedtem J. Dąbrowski & L. Weigel

we Lwowie, ulica Teatralna l. 7

naprzeciw bramy głównej Katedry od wielu lat zaszczytnie znany jedyny w Galicyi

Magazyn zegarmistrzowsko-jubilerski połączony z dwoma pracowniami.

Kupuje: Brylanty, perły, złoto, srebro etc. **również przyjmuje stare kosztowności w zamian za nowe.**
113—14—?

Wszelkie zamówienia z prowincyi uskutecznia się jak najrychlej.

Wielki wybór pierścionków zaręczynowych, obrączek ślubnych, szpilek i pierścionków bukietowych. Jedyny skład na całą Galicyę maszyn grających.

Osuszenie wilgotnych ścian, wytępienie grzyba, odwodnienie piwnic i mokrych gruntów, izolowanie ścian i murów fundamentowych naturalnym gorącym asfaltem, kanalizowanie realności i urządzanie zbiorników betonowych, krycie dachów tekturą asfaltową, dachówką i łupkiem. Wyposadzkowanie wszelakich ubikacyj, począwszy od salonu i całego domu mieszkalnego aż do magazynów, warsztatów, zakładów przemysłowych, śpichrzy, stajen, krowiarń, jakoteż i podwórzy — rozmaitymi materyałami, jakoto: płytkami keramicznemi (szteingutowemi), tak w jednym kolorze, jak i w najbogatszych deseniach dywanowych, klinkierami, płytkami cementowemi różnokolorowemi, asfaltem, betonem, wreszcie najnowszem „Magnolith", tworzącem podłogę jednolitą bez fug, twardą do niezużycia, a jednak ciepłą i przyjemną jak podłoga parkietowa. Kompletne urządzenie klosetów z zastosowaniem do wodociągów i bez; urządzenie ogrzewalnych łazienek domowych itp. itp. — Wszystko to wykonywa z fachową umiejętnością firma

J. RZĘDOWSKI

we LWOWIE ul. Sykstuska l. 16 — **w PRZEMYŚLU** ul. Mickiewicza.

telefonu nr. 257 i 277.

Nadto utrzymuje się na składzie wszelkie w zakres budownictwa wchodzące materyały. — Na żądanie wysela się cenniki i specyalne oferty. 130—17—24

NAJWYBORNIEJSZYCH

½ Kg. cukrów deserowych jako to pomadki, czekoladki etc. zł. 1·20
„ Biskwitów ang. i herbatników . . . . . „ 1·—
„ Karmelków mięszanych . . . . . . „ —·75
„ Cacao odtłuszczone proszkowane . . . . „ 1·50
„ Czekolady wybornej od 70 ct. do . . . . „ 1·50

poleca codzień świeże

HENRYK TRETER

właściciel parowej fabryki cukrów i czekolady we Lwowie. 116—19—24

Kupujmy znakomite wyroby własne, precz ze sprowadzoną tandetą!

Rok założenia 1854.

alemym an **wzło opaski,** ja-ystowie krajowoj 1894 roku nagrodzona

FABRYKA WYROBÓW STOLARSKICH i PARKIETÓW

pod firmą

Marcin Prugar i Syn

we Lwowie, ul. Supińskiego l. 5 i ul. Pełczyńska l. 15

poleca

wszelkie **urządzenia sklepowe, portale, meble,** jakoteż **roboty budowlane** po cenach przystępnych i w najkrótszych terminach dostawy.

Cenniki franco i gratis.

Utrzymuje na składzie **gotowe okna, drzwi i opaski,** jakoteż **parkiety** w różnych wzorach i cenach. 136—18—24

Zakupujemy bydło

chude, zdatne do opasu, jako to: woły lżejsze i cięższe i krowy.

Mniejsze sztuki w ilości najmniej 28, cięższe 24 sztuk, taką bowiem tylko ilość opłaca się wagonować. Gospodarstwa nie posiadające takiej ilości, łączyć się mogą z sąsiednimi i tym sposobem dopełnić brakującą do wymaganej liczby ilość sztuk. Sprzedający nam bydło uzyskają za towar odpowiednią cenę i unikną wyzysku przez drobnych pośredników handlarzy. W ofercie należy podać wagę każdej sztuki (po 24 godzinnym poście) w przybliżeniu wiek i cenę. Pośrednictwo wykluczone.

Zarząd dóbr Żurawno

7—? poczta i telegraf w miejscu.

Jedyna pracownia w kraju

ul. Kołłątaja l. 5.

emaliowania metali, rowerów, blaszane i kuchenne naczynia, stoły, łóżka i t. d. Lakierowane w piecu, wypalane na sposób berliński i wiedeński, zakład malowania szyldów, złocenia figur, krzyżów, imitowanie drzewa i marmurów i t. p. roboty budowlane i portalowe wykonywa uczciwie po najniższych cenach

J. Krzanowski

lakiernik.

137—17—24

Świeże nasiona

jarzyn, kwiatów, traw, buraków pastewnych, koniczyn, lucerny francuskiej i nasion lasowych

poleca po cenach najtańszych i w najlepszych gatunkach
11—24

główny skład nasion, roślin i kwiatów

Z. Mękarskiego

we Lwowie, pl. Halicki l.

Cenniki nasion na żądanie franco.

Dla amatorów i lubowników psów

poleca się

SŁAWNE PIGUŁKI HOSTOŃSKIEGO

jako jedyny i nieprześcigniony środek przeciw wywiązywaniu się nosacizny, wścieklizny i choroby psów.

Pudełko wraz ze sposobem użycia 1·50.

wyłączny skład

W GŁÓWNYM MAGAZYNIE BRONI

Alfreda Dzikowskiego

we Lwowie.

Odsprzedającym stosowny opust. 27—?

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego" we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.